Nr. 4. We Lwowie dnia 27. stycznia 1901. Rok 9.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

O samokształceniu się młodego pokolenia w Rosji.

I.

Zadaniem tego artykułu mojego jest zaznajomienie polskiej publiczności i młodzieży akademickiej z pewnym doniosłym ruchem kulturalnym, który odbywa się wśród młodzieży rosyjskiej. Chcę mianowicie mówić o rozwiniętem w jej łonie dążeniu do samokształcenia, mającem na celu zdobycie ogólnego poglądu na świat. Rzecz oczywista, iż dążność taka jest mniej więcej wspólną wszystkim krajom, gdziekolwiek istnieje nauka i oświata, ale każdy z nich ma swoje odrębne warunki i sposoby, za pomocą których potrzebie tej czyni zadość. Wiedząc, iż wśród młodzieży polskiej również silnie rozbudzonem jest powyższe dążenie, sądzę, że zaznajomienie się z analogicznem zjawiskiem w kraju sąsiednim nie pozbawionem będzie dla niej pewnego interesu.

Powiedziałem tylko co, że zjawisko, o którem zamierzam mówić, jest mniej więcej wspólne wszystkim narodom cywilizowanym. I rzeczywiście, drugą połowę wieku XIX-go cechuje we wszystkich krajach cywilizowanych poszukiwanie nowych form zdobywania i rozpowszechniania wiedzy, przyczem w poszukiwaniu tem dają się zauważyć dwa prądy: jeden ze strony szukających wiedzy, drugi zaś ze strony tych, którzy ją dać mogą. Wszyscy naturalnie wiedzą o istniejącem w wielu krajach t. zw. „university extension“, czyli inaczej o uniwersytetach ludowych. Instytucja ta, mająca już swą całą literaturę, powstała w Anglji i Ameryce północnej, a stąd przeniosła się do innych krajów. Określając rzecz bliżej, „university extension“ oznacza wykłady publiczne o pokroju uniwersyteckim, bądź to pojedyńcze, bądź stanowiące całe kursa, mniej lub więcej systematyczne, a nawet niekiedy połączone z praktycznemi zajęciami i egzaminami. Jeżeli jednak nawet pracowity student uniwersytetu, uczęszczający na cały szereg obszernych wykładów w ciągu czterech, lub pięciu lat, nie może obejść się bez czytania dzieł naukowych, to jeszcze bardziej potrzebuje tego człowiek, zdobywający wiedzę w uniwersytecie ludowym. Zrozumieli to dobrze już pierwsi działacze na polu „university extension“, tworząc osobne „kółka domowej lektury“ (home reading union). Organizacja ich polega na tem, iż pewne grono osób kompetentnych opracowuje programy lektury domowej, wskazuje na odpowiednie dzieła i nawet kieruje samą lekturą, zawiązując osobiste, a częściej jeszcze listowne stosunki z osobami, które z owych programów korzystają. Ale zanim jeszcze powstały tego rodzaju organizacje, istniało już bardzo wiele katalogów dzieł, ułożonych przez poszczególne osoby i obiegających przeważnie wśród młodzieży, żądnej wskazówek, co czytać należy i w jakich dziełach szukać odpowiedzi na te, lub owe zaprzątające młode umysły zagadnienia. Katalogi takie w Rosji nosiły zazwyczaj nazwę „katalogów dzieł dla samokształcenia się“ (katałogi knig dla samoobrazowanija). We wszystkich powyższych trzech zjawiskach, a mianowicie w uniwersytetach ludowych, w organizacji lektury domowej i w układzie katalogów dla samokształcenia się, mamy w rzeczy samej do czynienia z jednem tylko zjawiskiem ogólnem. Z jednej strony widzimy ludzi, którzy nie mają dostępu do wyższego wykształcenia albo otrzymują je w pewnym tylko specjalnym kierunku, a pragnęliby nabyć wiedzę w zakresie ogólniejszym — z drugiej zaś idą im na spotkanie ci, którzy mogą w pewnej mierze zadość uczynić tej potrzebie duchowej. Nie dość na tem; wszak i dawniej było wielu ludzi, poświęcających pewne godziny samokształceniu i zawsze mogli oni znaleść kogoś, kto im nie poskąpił rad i wskazówek. Ale dawniej robiono to w pojedynkę i niesystematycznie, podczas gdy obecnie mamy przed sobą działalność usystematyzowaną, a ci, którzy pragną przyjść z pomocą łaknącym wiedzy, działają zbiorowo, t. j. organizują specjalne stowarzyszenia w celu szerzenia oświaty w jak najszerszych kołach ludności.

Systematyczna i zbiorowa pomoc na polu samokształcenia się jest więc rzeczą nową ,i, jak każda nowość, nie jest wolną od błędów i nieporozumień. Zasadniczym rysem tego ruchu kulturalnego, o którym mówię, jest dążność do nabycia i szerzenia wyższego wykształcenia uniwersyteckiego. Zobaczmy tedy naprzód, w jakim celu istnieją wyższe zakłady naukowe, stanowiące jakby prototyp t. zw. „uniwersytetów ludowych“.

Są zawody, wymagające odrębnych, a przytem dłuższych specjalnych studjów, dostępnych tylko dla tych, którzy przedtem zostali należycie przygotowani w szkole średniej. Takim jest zawód lekarza, adwokata, sędziego, profesora, inżyniera, technika, agronoma i t. p. Wiele wyższych zakładów naukowych ma ten właśnie charakter szkół specjalnych, które przygotowują takich fachowców i specjalistów, jakich społeczeństwu potrzeba. Pojedyńcze wydziały naszych uniwersytetów są w gruncie rzeczy do pewnego stopnia takiemi szkołami zawodowemi. Rzecz jasna, że to fachowe wykształcenie, jakie dają wyższe zakłady naukowe, tylko tą drogą może być nabyte. Odczyty publiczne, ani lektura domowa nie są w stanie wykształcić takich n. p. specjalistów, jak: lekarze, lub inżynierowie. Nie da się zaprzeczyć, że fakultety uniwersyteckie w zasadzie nie mają to być bynajmniej szkoły fachowe, a na pierwszym planie powinna w nich stać czysta nauka, ale i ten, kto chce zostać uczonym teoretykiem, musi przejść naukową szkołę, t. j. długo i wiele ćwiczyć się w badaniach naukowych, a przytem posiadać specjalne ku temu upodobania i zdolności. Jeżeli z dotychczasowych uniwersytetów wychodzi nieznaczny tylko procent uczonych, to rzecz jasna, iż uniwersytety ludowe już wcale nie mogą kusić się o to, by z ich słuchaczy wyrastali przyszli uczeni. Te ostatnie mogą więc mieć na celu tylko oświatę ogólną. Na każdym fakultecie, w każdej wyższej szkole specjalnej podstawą fachowej wiedzy, oraz czystej nauki zawsze być musi pewna suma wiadomości ogólnych, mająca wartość sama przez się przez to, że zaspakaja naturalne pragnienie wiedzy umysłów młodych i w ogólności takich umysłów, które łakną strawy duchowej. Uniwersytet zaspakaja tę potrzebę w stopniu wyższym, aniżeli inne wyższe zakłady naukowe, aczkolwiek i w nim oddzielne wydziały mają pod tym względem niejednakowe znaczenie.

Rzućmy okiem na dzieje uniwersytetów europejskich. Jak wiadomo, powstały one w wiekach średnich, a powołały je do życia te same praktyczne potrzeby społeczne, które i za naszych czasów dają grunt rozmaitym wyższym szkołom technicznym. W wiekach średnich społeczeństwo potrzebowało fachowców trzech kategorji — kapłanów, prawników, oraz lekarzy. To też w uniwersytetach przedewszystkiem uczono teologji, prawa, oraz medycyny i stworzono trzy odpowiednie fakultety. Ale ludzie łakną nauki nie dla celów wyłącznie tylko praktycznych i po praktyce przychodzi kolej na teorję, która powinna zaspokoić nasze czyste i bezinteresowne pragnienie wiedzy. Wskutek tego musiało też powstać wyeliminowanie pierwiastków czysto naukowych, utworzono fakultet filozoficzny dla nauk humanitarnych i przyrodniczych, dzieląc go na „faculté des lettres i faculté des sciences“, jak we Francji, albo też dwa fakultety: historyczno-filologiczny i fizyko-matematyczny — jak w Rosji. Oba te wydziały mają też najmniej profesjonalny i najbardziej naukowy charakter. Ale nie na tem koniec. Te współczesne prądy, które stanowią przedmiot mego odczytu, mają cele nie profesjonalne, lub naukowe. Zadaniem ich jest szerzenie wyższej ogólnej oświaty w jak najszerszych kołach społeczeństwa i rozumie się, że ta nowa potrzeba wymaga też nowych środków i sposobów szerzenia wyższego wykształcenia. „University extension“, lektura domowa oraz katalogi dzieł dla samokształcenia się — oto są owe nowe sposoby, dotychczas rozumie się, jeszcze całkowicie nie wyzyskane. Stawiamy dopiero pierwsze kroki i rzecz oczywista, nie zawsze stąpamy pewnie. Główny błąd, który uderza zaraz na pierwszy rzut oka, polega na tem, że na polu szerzenia oświaty ogólnej dąży się niejednokrotnie do celów i używa sposobów, właściwych tylko szkołom profesjonalnym, lub też czysto naukowym. Mam tu na myśli to wszystko, co zarówno w uniwersytetach ludowych, jak i w lekturze domowej przypomina podział studjów w uniwersytetach zwyczajnych na wydziały, jak również owe specjalne (choćby szczupłe) kursa dla robotników, np. o wazach etruskich lub tym podobnych zagadnieniach archeologji. Wyższe wykształcenie, którego łakną ci, co nie mają lub nie mieli możności uczęszczania do uniwersytetów, oraz innych szkół wyższych, nie ma charakteru ani naukowego, ani specjalnego — jest to wykształcenie przedewszystkiem ogólne.

Wykształcenie może być zawodowem i ogólnem na wszystkich swych szczeblach, zarówno na niższych, jak i na średnich, oraz wyższych, ale na wszystkich tych stopniach oba te rodzaje wykształcenia powinny mieć charakter naukowy. Wykształcenie zawodowe powinno przygotowywać dla społeczeństwa takich pracowników, jak n. p. ślusarze, inżynierowie, ogrodnicy, agronomowie, felczerzy, lekarze i t. p., wykształcenie zaś ogólne ma na celu wychowanie ludzi i obywateli. Przy współczesnej organizacji szkolnictwa we wszystkich państwach europejskich, zadanie wychowywania ludzi i obywateli przypada wyłącznie szkole niższej i średniej, szkoła zaś wyższa dąży już tylko do celów specjalnych i zawodowych. Inna to już sprawa, o ile współczesna szkoła średnia daje w rzeczywistości ogólne wykształcenie, odpowiadające duchowi czasu, ale w każdym razie rzecz się tak ma, iż gdy młodzieniec opuszcza gimnazjum i przechodzi do uniwersytetu, jego ogólne wykształcenie uważa

się za ukończone i staje się on tylko prawnikiem, lekarzem i t. p. A tymczasem, jeżeli pierwiastek naukowy powinien przenikać wszystkie stopnie wykształcenia, to dopiero na szczeblu najwyższym może on uwolnić się od wymagań pedagogiki, oraz celów profesjonalnych i sam przez się budzić zainteresowanie. Tylko na tym stopniu może ujawnić się prawdziwe dążenie do wiedzy, niezależne od praktycznego jej zastosowania albo też pracy nad samą nauką, a w celu poznania wszystkiego tego, co osiągnęła myśl ludzka, a co wzięte w swej całości stanowi postępowy pogląd na świat naszych czasów. Takim to właśnie aspiracjom powinni iść na spotkanie popularyzatorowie wiedzy, za pomocą odczytów publicznych, artykułów naukowych, broszur i książek.

O tem też pamiętać winni pracownicy na polu „uniwersytetów ludowych“, kierownicy „lektury domowej“, autorowie systematycznych katalogów „samokształcenia się“ — słowem wszyscy ci, którzy idą ze zorganizowaną pomocą ludziom, żądnym wyższego wykształcenia. Z tego punktu widzenia, nie wszystkie gałęzie wiedzy, a w pojedynczych jej działach nie wszystkie części i strony mają jednaką wartość. Czego innego potrzeba specjaliście praktykowi, czego innego specjaliście teoretykowi, a już znowu zupełnie czego innego szuka w nauce zwykły człowiek wykształcony, pragnący wytworzyć sobie mniej więcej jednolity światopogląd. O tem, co w tej lub owej dziedzinie wiedzy powinno mieć wartość dla takich ludzi i być im przydatnem, rozstrzyga stopień ogólnego interesu, jaki może wzbudzić dana gałąź wiedzy, oraz przystępność różnych zagadnień, które ona porusza. Kwestję tę można rozwiązać zupełnie a priori, wysuwając na plan pierwszy wszystko, co może być przedmiotem artykułu popularnego, albo odczytu, przeznaczonego dla szerokich kół publiczności, ale może również decydować o tem statystyka czytelników bibliotek publicznych, oraz osób czytających książki wedle wskazówek związków lektury domowej. Uniwersytetów ludowych nie należy dzielić na specjalne wydziały nietylko dla tego, że w nieprzygotowanem należycie audytorjum nietylko objętość kursu nie powinna być zbyt wielką, a i wykładów niepodobna utrzymać na wysokości akademickiej, ale i z tej głównie przyczyny, iż olbrzymia, decydująca większość słuchaczy nie ma na celu badań specjalnych, pragnąc zdobyć tylko ogólne pojęcie o tem, jak nauka współczesna rozumie przyrodę, człowieka i społeczeństwo.

Uniwersytety ludowe sieją naukę akademicką przeważnie w sferach, nie mających dostępu do szkół wyższych, ale znajdujących się już na tym stopniu inteligencji i potrzeb duchowych, których zaspokojenie wymaga lektury poważnej i naukowej, acz popularnej. Mamy tu do czynienia z ludźmi o najrozmaitszych stanowiskach społecznych, poczynając od drobnego mieszczaństwa i niższych urzędników, a kończąc na rzemieślnikach i robotnikach fabrycznych. Z drugiej strony pamiętać należy, że i słuchacze wyższych zakładów naukowych potrzebują, jeżeli już nie „uniwersytetów ludowych“, to w każdym razie „lektury domowej“ i „samokształcenia się“ w kierunku ogólnym. W uniwersytetach bowiem nie osiąga się wcale wyższego wykształcenia ogólnego jako całości. Można tu znaleźć wykształcenie historyczno-filologiczne, fizyko-matematyczne, prawne, lekarskie, każdy fakultet przedstawia niby osobną szkołę, która sama przez się nie może dać tego, czego łaknie umysł młody, poważnie i z zastanowieniem szukający odpowiedzi na zagadnienia myśli i życia. Tę właśnie młodzież uniwersytecką i jej rówieśników kształcących się w rozmaitych wyższych szkołach technicznych mając na myśli, zastanawiałem się tak obszernie nad owem zjawiskiem ogólnem, o którem mowa była dotychczas.

Mikołaj Kariejew.

ŚNIEŻYCA.

Wicher... Śniegu tumany pędzą w mroczne dale —
W dale śnieżne, bezkreślne, by polarne morze,
Kędy wschodów nieznane ni zachodów zorze,
A zaś mrok rządy dzierży niepodzielne stale...

A wśród wichru, śnieżycy, w tej zawiei szale
Idzie chłop po zawianym śniegami ugorze,
Piersiami wicher zwalcza, nogami śnieg orze,
Jak tonący, ostatkiem sił walcząc wytrwale...

Żona doma mu kona!.. Powraca z apteki,
Niesie chorej (daj Boże!) może zbawcze leki,
Więc niczem mu śnieżyca oraz wichru szał —

Więc dalej! — chociaż wicher ślad po drogach zwiał,
Chociaż członki kostnieją i mroczno w przestworze —
Może dojdzie w czas jeszcze... a może, a może...

Adam Stodor.

Na posterunku.

(Dokończenie).

Oto tło stosunków parańskich w najogólniejszych zarysach. Aczkolwiek sytuacja jest dość smutna, mimo to chaos ten może się zmienić na lepsze, dzięki zdrowym zadatkom natury naszego chłopa, o ile uda się odnaleść je i nadać im odpowiedni kierunek.

Właśnie pracy w tym duchu jął się p. Okołowicz. Po przybyciu do Parany w grudniu roku 1898, kilka miesięcy poświęcił badaniu stosunków miejscowych.

Nie należał on do tych, którzy poznają stosunki z okien hotelu lub wagonu. Pragnąc poznać lud, jego potrzeby i zwyczaje, podróżował on od kolonji do kolonji, wędrował od chaty do chaty; nieraz burza podzwrotnikowa spotykała go wśród dziewiczych lasów, na wązkiej ścieżynie. Po powrocie do Kurytyby objął on redakcję „Gazety Polskiej“ w Brazylji, podówczas jedynego pisma polskiego, prowadzonego niemożliwie nawet ze stanowiska amerykańskiego; treść, sens a właściwie brak wszelkiego sensu, i pisownia walczyły ze sobą o lepsze, nie brak było w niej najróżniejszych curiosów, jak np. stała rubryka „Polityka polityczna“; jednem słowem była to prawdziwa szmata drukowana najmarniejszego gatunku. Pod nową redakcją „Gazeta“ ulega zasadniczej zmianie; dzięki umiejętnemu poruszaniu i rozpatrywaniu najżywotniejszych spraw kolonizacji, staje się powoli rzeczywistym organem ludu polskiego w Brazylji. Największy nacisk kładzie ona na sprawę solidarności narodowej i oświaty, jako na podstawę dobrobytu i rozwoju. Nawoływania te nie pozostają bez dodatniego skutku; zakładanie towarzystw i szkół raźniej postępuje naprzód, niż miało to miejsce dotychczas; czasami w Kurytybie tłumy okolicznych kolonistów oblegały jedyny polski sklep, gdzie można było nabyć książki i elementarze. Gazeta ostro występuje przeciwko coraz bardziej rozpowszechniającemu się zwyczajowi używania portugalskiego języka. Dochodziło już do tego, że na zebraniach polskich w Kurytybie nawet na obchodach narodowych dominował język portugalski, pomimo, że obecni na nich cudzoziemcy stanowili drobną cząstkę uczestników. Pod wpływem „Gazety“ powoli zmienia się to na lepsze. Z inicjatywy „Gazety“ zawiązuje się „Delegacja Handl.-Geograficzna“, mająca na celu ułatwienie emigrantom polskim pierwszych kroków na ziemi brazylijskiej.

Wobec zbliżających się wyborów do sejmu parańskiego, jak najusilniej wzywa ona ludność polską, by przez czynny udział w polityce krajowej zdobyła sobie odpowiednie znaczenie i stanowisko wśród Brazylijan. Dotychczas Polacy byli biernem narzędziem w rękach różnych macherów politycznych, bądź to opozycyjnej, bądźto rządowej partji brazylijskiej. Polskimi głosami frymarczono w sposób, o jakim największe szalbierstwa, dokonywane w europejskich państwach konstytucyjnych, nie mogą dać nawet wyobrażenia. Dzięki energicznym nawoływaniom „Gazety“, polityka ludności polskiej wkracza na racjonalne tory. W szeregu artykułów informuje i poucza „Gazeta“, jak należy korzystać ze swej siły liczebnej i w jaki sposób należy zaznaczać swe stanowisko w życiu politycznem Parany.

W Kurytybie, z inicjatywy p. Okołowicza, odbyło się kilka wieców, na których, po przeprowadzeniu odpowiedniej dyskusji, jednogłośnie uchwalono postawić kandydaturę polską do sejmu parańskiego, w osobie p. Edmunda Saporskiego, najpopularniejszej jednostki wśród Polaków parańskich. Niestety warcholstwo polskie musiało tu zaznaczyć swoje istnienie. Mimo pozornej jednomyślności, członkowie komitetu wyborczego gorliwie prowadzą pokątną agitację przeciwko własnemu kandydatowi. Jednocześnie właściciel „Gazety“, ulegając postronnym podszeptom opozycyjnej partji brazylijskiej przestaje wydawać swój organ.

Najdzielniejszy oręż sprawy polskiej zostaje wytrącony z rąk człowieka, który tak świetnie potrafił nim władać. Pomimo to, kandydat polski otrzymuje stosunkowo dość znaczną liczbę głosów; niektóre kolonje zwartą falangą głosują na p. Saporskiego, domagając się „polskiej gubernji“, tj. polskiego rządu. W ogóle ostatnie wybory wykazały, że polski kolonista, przy odpowiedniej pracy, może stać się znakomitą siłą polityczną.

Chcąc znaleść trwalsze podstawy do dalszej pracy, p. Okołowicz przybył w grudniu 1899 r. do Europy. Jednem z najważniejszych zadań było stworzenie pisma, zupełnie niezależnego od wszelkich widzimisię parańskich wydawców, zawsze gotowych zdradzić sprawę w najgorętszej chwili, skoro tylko można coś na tem zarobić.

Starania p. Okołowicza, przy pomocy kilku jednostek dobrej woli, zostały uwieńczone pomyślnym rezultatem: od lipca 1900 r. wychodzi w Kurytybie pod jego redakcją tygodniowe czasopismo „Prawda“. Prowadzi ona dalej pracę, rozpoczętą w „Gazecie polskiej „w Brazylji“. Sposób redagowania „Prawdy“ można śmiało nazwać wyśmienitym. Stawiając na pierwszym planie sprawy polsko-parańskie, uwzględnia ona jak najdokładniej sprawy ogólno-polskie. W każdym numerze spotykamy odpowiednie artykuły, umacniające w koloniście parańskim poczucie godności narodowej. Starannie ułożona kronika „Z ziem polskich“, utrzymuje Polaka parańskiego w ścisłym kontakcie z najważniejszemi zjawiskami ogólno-polskiego życia.

Nie mniejsze znaczenie pedagogiczne w duchu narodowym, mają ilustracje, jakie daje „Pra-

wda". Wprowadzenie tej inowacji, dowodzi wielkiej znajomości duszy naszego kolonisty. Najdrobniejsze ilustracje, przypominające kolonistom ojczysty kraj, są przez nich rozchwytywane.

Tak np. ilustracja, przedstawiająca zimę w Polsce, u bardzo licznych czytelników — jak pisali do redakcji — wywołała gorące łzy miłości do kraju ojczystego... Naturalnie ilustracji tych nie można oceniać według europejskich wymagań; dla Parany jednak są wystarczające. Prasa brazylijska, nie tylko w Kurytybie, ale nawet i stołeczna w Rio-Janeiro, jednogłośnie nazywa je znakomitemi.

Podobnież na wielkie uznanie zasługuje stanowisko „Prawdy" względem prasy brazylijskiej. Brazyljanie są niezbyt wysokiego mniemania o kulturze polskiej. Trafiają się wypadki, że pisma brazylijskie z własnej inicjatywy umieszczają obszerne artykuły o Polsce; wprawdzie nie brak w nich takich pereł erudycji, jak np. opisanie zwycięstw polskich nad Turkami, odniesionych przez króla Sobieskiego, przy pomocy generałów Mickiewicza i Kościuszki, ale bądź co bądź, lepsze to może niż milczenie.

Przed dwoma miesiącami, z inicjatywy pana Okołowicza, zarząd Muzeum Parańskiego zgodził się na utworzenie polskiego działu. Zdaje się, że nie trzeba dowodzić, jakie doniosłe znaczenie będzie miało dokonanie tego zamiaru. Pokolenie, zrodzone na ziemi brazylijskiej, nawet przy najgorętszym patrjotyzmie rodziców, może mieć tylko mgliste, niejasne pojęcie o Polsce.

Właśnie dla tego pokolenia, namacalne dowody naszej kultury, nagromadzone w Muzeum Parańskiem, mogą mieć wielkie znaczenie pod względem narodowym. Opowiadania rodziców i wiadomości książkowe znajdą w nich przekonywające ilustracje.

Jak widzimy, krótka działalność p. Okołowicza już jest bogatą w rezultaty.

Nawet najsurowszy krytyk musi przyznać, że posterunek polski w Paranie ma dzielnego przedstawiciela. Należy więc mieć nadzieję, że praca ta nie pójdzie na marne, o ile społeczeństwo polskie energicznie poprze sprawę.

Wł. Goździkowski.

2) ALOJZY JIRASEK.

CHODOWIE.

Obraz historyczny.

Rozmowę przerwało wejście Syki, gotowego już do drogi...

Nie można było dłużej się ociągać. Hanka przyniosła mężowi najparadniejszy żupan. Miał przecie stawać przed panami. Był to „żupan ślubny" i z dziurki od guzika zwieszała się piękna, długa wstążka czerwonej barwy, miła pamiątka szczęśliwego dnia, dar Hanki, jako panny młodej*).

Wstawano już od stołu, gdy we drzwiach ukazał się białowłosy wójt z Draženowa. Wstąpił, aby się pożegnać.

— Stary już jestem — mówił witając — a kto tam wie, jako to bedzie. To też chciałem uźrzeć raz jeszcze i ciebie, siostro, i ciebie, Hanko i twoje dzieci. Ostańcież z Bogiem!

Hanka wybuchnęła głośnym płaczem. Stara Kozinicha podała w milczeniu rękę bratu, podnosząc ku jego twarzy zamglone źrenice. Wargi jej drżały. I ona jednak nie potrafiła zapanować nad wzruszeniem, przy pożegnaniu z synem. Pokropiła go wodą święconą, przeżegnała krzyżem świętym. A Hanka zrosiła go łzami. Pocieszał ją, mówił z uśmiechem, że nie odchodzi na zawżdy. Ale gdy pochylił się ku dzieciom i całował po raz ostatni niewinne ich twarzyczki i jemu głos załamał się w piersi...

Nadbiegł w końcu i Iskra, aby pożegnać wiernego przyjaciela, od niedawna chrzestnego ojca małego swego synka, Jerzyka. Towarzyszył Janowi wraz z kobietami i dziećmi przed dom, gdzie oczekiwał już wóz zaprzężony i gromada sąsiadów, którzy przyszli ścisnąć raz jeszcze dłoń obrońcom swoim.

Nareszcie konie ruszyły, wóz potoczył się kamienistą drogą. Kozina oglądał się poza siebie, nawet wtedy, gdy płacząca żona i dzieci zniknęły mu z przed oczu — oglądał się tak długo, dopóki mógł widzieć Ujazd, ukochaną wioskę rodzinną. Nie przypuszczał wtedy, że widzi ją po raz ostatni w życiu. Towarzysze podróży, przejęci uroczystością chwili, milczeli również. Weselej na sercu zrobiło się wszystkim dopiero w Domażlicach, gdzie na nich czekali już inni mężowie zaufania: Jerzy Pecz z Chodowa, Niemiec z Miodakowa, krewki Brychta z Postrzekowa i wesoły Adam Ecl z Klencza. Nie zatrzymu-

*) Wstążkę taką mężczyzna nosi i po ślubie, dopóki starczy „kawał kabatu". (Przyp. Autora).

jąc się tu jednak dłużej, puścili się wnet w dalszą drogę, do Pragi.

O parę kilometrów za miastem, dogoniła ich wspaniała kareta, zaprzężona w cztery konie wrone. Za tym powozem toczył się inny, w którym mieściła się zapewne służba. Czterech hajduków konnych towarzyszyło powozom. W chwili, kiedy Kozina powstał z miejsca, aby lepiej przypatrzeć się jadącym, u okna karety podniosła się firanka i przez szybę wyjrzała piegowata twarz, otoczona lokami długiej peruki.

Oczy młodego górala skrzyżowały się z zimnem, a jednak przenikliwem spojrzeniem Lammingera. Kozina wytrzymał spojrzenie. Głowa hrabiego cofnęła się pierwsza. Ale firanka podniosła się znowu i w okienku błysnęła teraz śliczna twarzyczka młodszej jego córki.

— Ciekaw byłbych przecie wiedzieć, ile złota wiezie ze sobą? — rzucił przez zaciśnięte zęby Pecz z Chodowa.

— Bodajby koła połamał w tej drodze, —zaklął Brychta, goniąc — podobnie jak i towarzysze — ponurem spojrzeniem czarnych iskrzących się oczu powozy pańskie, które zdążały również w kierunku Pragi...

Prócz wójta Syki, nikt z wysłanych Chodów nie był nigdy jeszcze w Pradze, zdumieli się też nie mało, wjeżdżając do królewskiego grodu. Czem-że było ich miasto*) w porównaniu z tym lasem domów i siecią ulic? Czem odpusty i jarmarki górskiej ich krainy w zestawieniu z falą ludzi, płynącą tu ustawicznie w dzień powszedni? — Najmniej poddawał się nowym wrażeniom Kozina. Rozglądał się, dziwował, lecz nic nie mogło przykuć na dłużej jego uwagi. Myśl młodego gazdy pochłaniała sprawa, dla której przybyli, a troską jego najbliższą było odszukanie deputacji, wysłanej potajemnie do Wiednia, która miała pośpieszyć również do Pragi, aby wraz z nimi siedmiu stanąć przed sądem apelacyjnym.

Spotkali się też niebawem z sąsiadami na bruku prazkim. Z onej pierwszej deputacji, która wróciła wkrótce po ogłoszeniu na zamku przegranej Chodów, był tu jeden tylko Pajdar. Owóż on i dwaj jego towarzysze opowiadali teraz, co uczynili w Wiedniu i radowali się, że udało im się nietylko wyjednać sąd apelacyjny, lecz i znaleźć wybornego adwokata. Był nim szlachetnie urodzony pan Tunkl z Berniczka. Uczony ów prawnik okazywał im współczucie szczere, — tem szczersze, że i jego ród ucierpiał srodze podczas wielkiej onej wojny trzydziesto-letniej, kiedy to rząd skonfiskował im dobra tak doszczętnie, że stary herb szlachecki, to było jedyne dziedzictwo, które otrzymał w puściźnie po ojcach. O sprawie Chodów wiedział, przeszłość ich znał dokładnie, pokazywał nawet książkę łacińską, w której stało opisane, jako całości granic strzegli i z praw wyjątkowych korzystali. Gdy opowiedzieli mu o świeżo zaszłych wypadkach, o cudownie ocalonych dokumentach i zapytali, czy sprawa nie uległa przedawnieniu, pan Tunkl wybuchnął śmiechem i jął upewniać, że takie dokumenty nie stracą nigdy wartości.

— Byle ino nie cyganił, jako ów Sztraus we Wiedniu! — westchnął Hruby.

— Dyć ta i Sztraus nie poradził by nam tak szkodzić teraz, kie już stoimy, że tak rzekę, jedną nogą przed sądem i sami bronić się musimy — uspokajał Kozina. — Prawo przecie po naszej stronie — dorzucił z głęboką wiarą w słuszność i czystość swojej sprawy.

Jęli też wszyscy wyglądać z niecierpliwością wielką p. Tunkla, zubożałego szlachcica — adwokata, który miał przybyć lada chwila do Pragi. Radziby byli porozumieć się z nim wpierw, nim staną przed apelacją. Stało się jednak inaczej: wezwanie do sądu otrzymali zaraz na drugi dzień po przybyciu do Pragi.

Wczesnym rankiem udali się na Hradczany. A kiedy mijali podwórza królewskiego zamku, i rozglądali się wokoło szeroko rozwartemi oczyma, biało-włosy Krzysztof Hruby przystanął i, zataczając dokoła ciupagą, rzekł poważnie:

— Haw siedzieli królowie czescy — jedyni nascy panowie. Kromia onych królów, nikto nie śmiał nam ozkazować. Oni jeno dzierżyli władzę nad nami...

— Inaksi to byli panowie, aniżeli dzisiejszy oprawca z Terhanowa — dorzucił ponuro Brychta postrzekowski. Zaczem udali się na mszę do kościoła św. Wita, a po skończonem nabożeństwie skupili się w oczekiwaniu przed gmachem naprzeciwko, w którym sąd apelacyjny odbywał posiedzenia. Niemiec z Miodakowa i Pecz z Chodowa, oszołomieni Pragą, olśnieni wspaniałością zamku królewskiego i przepychem świątyni, zachowywali się milcząco. Kozina, wzruszony oczekiwaniem sądu i zmian, które miała im przynieść niedaleka przyszłość, również nie okazywał chęci do rozmowy, przypatrując się jeno wszystkiemu błyszczącemi oczyma i z uwagą wielką. Brychta postrzekowski zagłębiał niecierpliwym ruchem ostry szpon ciupagi między kamienie bruku, podczas gdy Ecl opowiadał o nim wesołą jakąś anegdotę, spostrzegłszy jednak, że nikt go nie słucha, zaprzestał żartów, do których i sam nie czuł jakoś usposobienia. Najspokojniej wyglądali na pozór stary Hruby i włochaty Syka, którzy wiedli ze sobą poważną jakąś rozmowę.

Czas mijał. Na podwórzu było dość gwarno: wojskowi, słudzy, wygalonowani lokaje, przewijali się przed gmachem, ukazując się w jednych drzwiach, znikając w innych. Wtem nadeszło kilku naraz panów w czarnych kabatach, czarnych pończochach i trzewikach o dużych sprzączkach.

— To oni, — sędziowie! — powiadali, jeden drugiemu, górale, wpatrując się bacznie w chłodne, a nawet surowe oblicza mężów, w których domyślali się członków sądu apelacyjnego. Lecz

*) Domażlice.

uwagę ich zwrócił wnet turkot powozów, z których wysiedli poważni jacyś panowie, witani przez obecnych głębokimi ukłonami. Przed jednym z nich zwłaszcza, nizko pochylały się głowy, a Syka dowiedział się wnet, że to sam prezydent sądu apelacyjnego, hrabia ze Szternberga.

Po upływie dłuższej dopiero chwili, woźny wprowadził Chodów po szerokich schodach do nader skromie urządzonego, ale bardzo jasnego pokoju. Zaledwie usiedli na twardych drewnianych stołkach, gdy uchyliły się drzwi, wiodące do sąsiedniego pokoju i człowiek jakiś, wysokiego wzrostu, w czerwonym kabacie, ukazał się na progu, wołając gromkim głosem:

— Jerzy Pecz, wójt z Chodowa, niech wejdzie!

Górale spojrzeli po sobie z wyrazem przykrego zawodu. Sądzili, że zawezwą ich wszystkich razem.

— Hej, co to będzie? — zawołał półgłosem Syka, zwracając się do Koziny. A gdy się obejrzał, ujrzał stojącego za sobą nieznajomego jakiegoś człowieka o chmurnej twarzy, który wślizgnął się tu niepostrzeżenie, na rozkaz sądu zapewne, aby szpiegował ich słowa i czyny!

Po Peczu, który małą chwilę zaledwie był nieobecny, zawezwano Niemca z Miodakowa.

— Coś powiadał? Czego chciano od ciebie? — pytał Brychta towarzysza.

— Pytano mię o bójki z czeladzią dworską i o maszkary zapustne...

— Milczeć! — zabrzmiał nagle rozkaz, chrapliwym głosem wypowiedziany. Wszyscy się obejrzeli z niechętnem zdziwieniem na nieznajomego w czarnem odzieniu, który stał z podniesionym do góry palcem wskazującym prawej ręki i mierzył ich surowym wzrokiem. Z kolei zawezwano Jakóba Brychtę, potem Ecla, dalej starego Krzysztofa Hrubego, a wreszcie Kozinę.

Jan porwał się ze stołka i szybkim, niecierpliwym krokiem podbiegł ku drzwiom sali sądowej. Twarz mu płonęła żywem wzruszeniem. Przekroczywszy próg, znieruchomiał na chwilę, uderzony niezwykłym widokiem. Naprzeciw, za stołem, zasiadali sędziowie, czarno ubrani, w olbrzymich perukach, których kędziory spływały im na ramiona i piersi. Po środku, na podniesieniu, znajdował się prezydent, Wacław Wojciech, hrabia ze Szternberga, człowiek nie młody, o silnie zaostrzonych rysach twarzy. Po prawej stronie, na ławie panów, siedzieli: Maksymiljan Norbert hrabia Kolovrat-Krakowski, mąż szlachetnie pięknego oblicza — Ferdynand Oktawjan hrabia z Vierzbna, a na miejscu ostatniem niedawno mianowany sędzią Jan Wacław hrabia Wrotysław z Mitrowic. Na lewo od prezydenta, na ławie rycerskiej zajęli miejsca: Daniel Wacław Mirabel z Freyhofu i Franciszek Mikołaj Asterle z Astfeldu. Poniżej zaś, na ławie doktorskiej: zasiadali: Jan Krystyn Poroubek, Gabrjel Marius, Jan Michał Knecht i Piotr Birelly, doktorzy prawa. Nieopodal od tych ostatnich, znajdował się sekretarz sądu, Kasper Jan Kupiec, z piórem gęsiem w ręku, w olbrzymiej peruce i okularach na nosie. Wszyscy ci panowie, siedzący za stołami, okrytemi zielonem suknem, na których stały kałamarze, leżały gęsie pióra i grube księgi, — utkwili baczne spojrzenia w młodego, dorodnego Choda, który z taką pewnością siebie wchodził na salę. Najbaczniej jednak przyglądał się mu jakiś pan, który nie był widocznie sędzią, bo stał na uboczu. Kozina również zwrócił na niego uwagę, nie domyślając się, że to zastępca wroga, — że to adwokat Lammingera.

Rozpoczęło się badanie.

(C. d. n.)

Z Syberji i Kamczatki

przez dra Benedykta Dybowskiego.

(Ciąg dalszy).

Drugą, niemniej trudną do pokonania przeszkodę, mieć będzie kolej na przestrzeni od Stretienska do Chabarowska, bo tu obok trudności, jakie przysparza budowie sam teren górzysty, mianowicie wzdłuż doliny Szyłki i na przestrzeni długiego pasma górskiego, zwanego Chinganem, muszą też być jeszcze zwalczone przeszkody natury czysto politycznej. Amur cały, od Arguni do Ussuri, jest dotąd wspólną własnością Chin i Rosji, a Chińczycy jeszcze się nie pogodzili z tą myślą, że lewy brzeg Amuru już nie jest w ich posiadaniu. Otóż zabezpieczenie całej przestrzeni kolei, wynoszącej 2000 wiorst, wśród prawie nie zaludnionego kraju ze strony rosyjskiej, jest zadaniem, przechodzącem możność. Dostęp ze strony chińskiej na łódkach, albo po lodzie jest tak łatwy, że lada jaki złoczyńca, wysłany przez nieprzyjaciół, może w jednej chwili zepsuć lub zniszczyć komunikację, albo też całe pociągi zdruzgotać. Zresztą, wszak miano już przykładów pod dostatkiem, świadczących, jak trudno było się ustrzedz od psot pogranicznych nawet podczas budowy linji telegraficznej, to też sądzę, że do przekonania o niemożności tej budowy kolei przy obecnych warunkach, przyjść już musieli dotychczas, jak rząd sam, tak i inżynierowie budowniczy na tym

szlaku, gdyż o jej wykończeniu niema mowy w chwili obecnej, a nawet, ściśle biorąc, niema też i wielkiej potrzeby tej linji amurskiej, skoro buduje się kolej przez Mandżurję. W sprawozdaniach nowszych o drodze, odbywanej obecnie wzdłuż doliny Amuru, zaznaczają tylko, że od Stretienska zaczyna się podróż z biegiem wody, po Szyłce i Amurze, na pięknych parowcach, według systemu amerykańskiego. Chcąc jednak mieć pojęcie o tem, co znaczy komunikacja wodna na Amurze, a szczególniej na Szyłce, musimy poznać chociażby parę szczegółów następujących, dotyczących nawigacji po Szyłce i Amurze. Otóż nasamprzód wiedzieć musimy, że nawigacja rzeczona trwa tylko od Maja do Listopada, następnie w Listopadzie, w Marcu i Kwietniu ustaje wszelka komunikacja, albowiem dróg lądowych niema, a po lodzie podróż jest wtedy niebezpieczną, albo wcale niemożebną. Od Grudnia do Marca znowu ustala się komunikacja, ale tylko dla poczty. Pasażerowie, odbywając tę drogę na złych koniach, po zatorach rzecznych i wertepach nadbrzeżnych, przeklinają podróż i to wszyscy jednogłośnie. Co się zaś dotyczy transportu towarów, albo większych posyłek, to one ustają wraz z nawigacją. Wspomniałem uprzednio, że regularny kurs parostatków po Szyłce trwa w zwykłych wypadkach około 5-ciu miesięcy, ale te tak zwane wypadki zwykłe, są w rzeczywistości wyjątkowemi, bo najczęściej już w początkach Lipca woda opada raptownie na rzecę i nawigacja ustaje, bo statki, nawet „płaskodenne“, niewielkich rozmiarów, zagłębiające się w wodzie nie więcej nad jedną stopę, osiadają ciągle na mieliznach, po tak zwanych „pierekatach“, lub co gorsza, przebijają dno o skaliste bryły, któremi jest usłane łożysko tej prawdziwie górskiej rzeki, bo krętej, skalistej i niezmiernie bystrej. Szyłka nie nadaje się wcale do prawidłowej nawigacji, co najwięcej jest ona spławną na wiosnę zupełnie tak, jak spławną jest Jngoda, jak Onon i Argun.

Amur, od Ałbazina poczynając, jest rzeką, po której już większe parostatki kursować mogą, ale, że brzeg prawy należy do nieprzyjaciół, z tej racji nawigacja po niej jest niepewną, a często niebezpieczną. Przy lada bowiem rewolcie w Chinach, komunikacja, nawet latem ustać musi, albo też zbrojną siłą przebijać się wypadnie u brzegu chińskiego. Następnie z powodu, że lasy rosną szczególnie obficie na prawym brzegu rzeki i brzeg ten jest przystępniejszy dla statków, stawia się przeto zwykle sągi drzewa opałowego po stronie chińskiej. Jeżeli wypadkiem nastąpi zerwanie raptowne przyjaznych stosunków pomiędzy sąsiadami, stać się łatwo może, że zabraknie paliwa na całej prawie linji. Parę razy w czasie podróży na parostatkach kompanji amurskich zdarzył się nam taki wypadek, że ludność miejscowa chińska, nie chciała ustąpić drzewa opałowego. Kapitan był zmuszony wysadzać na ląd załogę, ażeby ciąć i znosić drzewo, przy pomocy pasażerów. Dobrze, że to miało miejsce w dobie spokoju i że nikt z ukrycia leśnego nie pomyślał o obronie własności, ale w chwili wojennej, statek parowy bez opału łatwo byłby się mógł stać łupem nieprzyjaciela.

Dla możności zbudowania kolei wzdłuż doliny rzeki Amuru, a także aby umożliwić utrzymanie tej drogi w stanie należytym, koniecznością nieuniknioną i nieodzowną jest przyłączenie Mandżurji do posiadłości azjatyckich państwa rosyjskiego, innego tu wyjścia niema, chyba że się Rosja zrzecze krajów: Amurskiego i Usuryjskiego, a tego przecie uczynić nie może. Krocie poświęcono już na te kraje, które dotąd żadnej materjalnej korzyści państwu nie przyniosły i na przyszłość przynieść nie obiecują, czyniono to jednak w tej nadziei, że one posłużyć muszą za podstawę do zaborów następnych, bogatszych w rezultaty, dających korzyści materjalne. Chwila urzeczywistnienia tych nadziei nadeszła, cofać się nie można, iść trzeba naprzód. (C. d. n.)

Z pism i książek.

„Krytyka“ miesięcznik poświęcony sprawom społecznym literaturze i sztuce, który dotychczas wychodził w Krakowie, przeniósł swoją redakcję do Lwowa. Jak widać z pierwszego zeszytu, który obecnie ukazał się na półkach księgarskich, „Krytyka“ wraz z przeniesieniem siedziby, zmieniła się i wewnętrznie. Nie chodzi tu tyle o zmianę kierunku, gdyż ten pod względem spraw społecznych, jak był, tak i pozostał radykalnym w duchu socjalistycznym, a pod względem przekonań literackich, także, jak był, tak i jest nacechowany duchem postępu, przyczem w kwalifikacji utworów oryginalnych i krytycznych, znać nacisk na ich społeczne znaczenie. Zmieniła się „Krytyka“ pod względem technicznego układu, w którym zaznaczyło się większe urozmaicenie, robiące zarazem wrażenie większej obfitości materjału.

Nie wchodząc na razie w jego wartość treściową stwierdzamy dla scharakteryzowania pierwszego zeszytu „Krytyki“ lwowskiej, że ma on i artykuł z bieżących spraw tzw. aktualnych, jak o wyborach do Rady państwa, i lokalny, ale szerszego znaczenia: o życiu lwowskiej młodzieży akademickiej i ogólniejszej natury: o konstytucji ekonomicznej we Francji i inne. W części literackiej zaś mamy pracę historyczno-literacką, dwa utwory liryczne, jeden dramat, sprawozdania z ruchu literackiego i teatralnego w Warszawie, Krakowie i Lwowie, a wreszcie oceny ważniejszych publikacyj, zarówno w dziedzinie naukowej, jak i literackiej. Nawet dziedzina sztuk plastycznych ma tam swego reprezentanta w fantastyczno-krytycznym artykule o pewnej grupie malarzy francuskich. Dzięki odmiennemu wyglądowi „Krytyki“, przynajmniej pod względem rozmaitości, można ją też w pewnej mierze uważać za rodzaj nowego czasopisma. (*sw.*)

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów ul. Kopernika 5.